

Upraszamy o nadsyłanie przedpłaty. Wynosi ona rocznie z przesyłką do domu 5 koron, półrocznie 2 K. 60 hal., kwartalnie 1 K. 40 hal.

Adres Administracji: **Lwów, Rynek I. 44, I. piętro.**

KAZIMIERZ KRÓLIŃSKI.

Esterka.

(Karta z życia samotnego letnika).

IV.

Ująłem ją pod ramię. Zdawała się być lekką jak ptak, szczebiotała wesoło, by czoło moje rozchmurzyć. Niestety dolegało mi coś, coś gniotło w sercu. Czulem jakiś dziwny niesmak. Po powrocie ani tknąłem wybornego obiadu. Z zawrotem głowy wygramoliłem się po drabinie na strych w siano i usnąłem głęboko. Gdy się zbudziłem była już noc. Na stole w pokoju zastałem wystygniętą wieszczkę i kartkę ze słowami:

„Ojciec wróci około 12-tej w nocy. Chcę z tobą ten czas przeczekać razem”. Spojrzałem na zegarek. Było po 1-szej z północy.

— Gotowa uwierzyć, że się jej umyśli nie wymykam — pomyślałem — i z tem przysięgającym uczuciem rzuciłem się na łóżko.

Obudziło mnie lekkie dotknięcie. Przecieram oczy, to Estera blada, z błyszczącymi od łez oczyma, stoi nade mną, trzymając naczynie z kawą.

— Dzień dobry! — rzekła drżącym głosem. — Czuje się pan lepiej?

— Jestem zupełnie zdrow. A cóż u ciebie?

— Ojciec przyjechał razem z... nim.

— Z narzeczoną?

— Tak, z Joskiem. Może go pan chce poznać, proszę w takim razie się spieszyć, bo wybiera się do wsi na poszukiwanie kory u chłopów.

Zostawiła naczynie i wyszła. Ubrałem się spiesźnie i podążyłem do karczemki. Za wysokimi kratami stała Estera i nalewała wódkę chłopom, idącym w pole z kosami. W alkierzyku Walek z przyszłym zięciem odprawiał poranne modły. Postanowiłem im nie przeszkadzać i usiadłem w szynkowej izdebce na ławie.

— Na twoje wesele, Esterko, to się psio kręć uglejem, kie nieboskie — ozwał się tegi parobek, po wypiciu półkwatki siwuchy — wte, to se nie kozes płacić, zje?

— Piekny chłop, kie malowanie — kiepkował, jakiś starszy, bezwasy gazda — ki u niego nos, ho hej, a pejsy na ten psykład, nicem śrubby od warstatu kołodzieja.

Zauważyłem przez kraty szynkwasy, że słowa te raniły biedne dziewczę do głębi duszy. Starąłem się jednak nie dać poznać po sobie, że to zauważyłem, a jeden z parobków zagadywał znowu:

— A jakie to u was po ślubie obycie som, Esterko? Goście jedzą i pijam i tańcują, ino nie te drobnego, co u nas, a z pańska, pon młody zoś z panną młodą idam se...

— Jędek, gdyby nie obecność tego oto pana doktora, tobyś w tej chwili szkło tej butelki wydobywał z głowy, rozumiesz?

— Ojej, raty, przeraty. Jak się to panienka sadi, kieby welimozna jako, hi, hi, hi...

W tej chwili wyszedł z alkierza Walek.

— Dzień dobry, panie doktorze — ozwał się. Ciekocie na mnie? Przywiozłem wam sprawunki. Esterka zanieś. Przywiozłem też zięcia. Josek — zwrócił się ku alkierzowi — kim herajń. Oto mój przyszły zięć Josek Kümmelmann, kupiec.

Josek Kümmelmann odkrzyknął, po głodził długie, błyszczące pejsy i z miną bywalca podał mi ręką z nietajoną poufałością. Był to mężczyzna lat dwudziestu kilku. Z krótko ostrzyżonej głowy zwisały dwa długie, czarne, lśniące pejsy. Nos cienki, zakrzywiony haczykowato. Starannie utrzymywane wąsiki harmonizowały z krótką lecz rzadką i niesympatyczną bródką. Dolna warga odstawała tak wyraziście, że górna przy niej prawie niknęła. Z dużych czarnych oczu w czerwonej oprawie powiek przebiegały się błyski szczęścia i nietajonej radości.

— A to je moja narzeczona — ozwał się wskazując na Esterkę. Pan doktor może nie wie...

Esterka obrzuciła go zimnem spojrzeniem za to wyrwanie się nie w porę. Poczuli to niezawodnie sam, bo natychmiast złożył mi niezgrabny, mały ukłon i rzekł:

— Muszę do interesu. Pam do nóżek panowi doktor. Adyje, Esterki.

Ujął ją za rękę i złożył na niej zamasty pocałunek, poczem pożegnawszy się z Walkiem wyszedł w towarzystwie starszego chłopaka Walkowego jako przewodnikiem do wsi robić na korze drzewnej interesy.

Za chwilę Walek, zjadłszy śniadanie, pocałował córkę w czoło, wziął kosę na ramię i poszedł ku polanom. Chciałem wyjść z nim razem, lecz Esterka mnie wstrzymała. Chłopów już nie było. Zostaliśmy sam na sam.

— Panie doktorze — zagadnęła łagodnym tonem — niech pan zapomni o tem, co było wczoraj, bardzo bardzo proszę...

— Czemu, Esterko?

— Pan tak oziębł. Narzuciłam się panu i to go zniechęciło. Przepraszam, bardzo za to przepraszam...

— Któż ci o tem mówił, Esterko?

— Przeczulałam. Zresztą schowałeś się pan umyślnie wieczorem. Przyzna pan jednak, że ja, choć żydówka, córka prostego karczmarza, mogę mieć swoje ambicje.

— Ależ, jesteś w błędzie, dziewczyno. Właśnie los twój wstrząsnął mną do głębi i wytrącił z równowagi mój system nerwowy.

— Doprawdy? — zapytała z uśmiechem i widocznym uradowaniem.

— Zaręczam ci, że mówię prawdę...

— No, a teraz? Widziałeś go. Ciekawam, jakie wrażenie wywarł na tobie narzucony mi oblubieniec... brrr!

Dotknięcie jego ust, robi wrażenie, jakby wąż się przez rękę prześliznął... Wyobrażam sobie, jaki wstręt opanowałby cię, gdyby tak ten potwór pocałował mnie w usta... Czy wte dy...

— Przestań Esterko, to zbyt boli... Nie oglądaj się jednak na mnie, nie licz się, co mnie się poboba lub niepodobą. Jeśli nie masz odwagi wyrazić ojcowi swej woli — trudno. Trzeba się pogodzić z losem.

— Jakie to straszne!... Wiesz co, przejdź się na polanę do ojca i przedstaw mu wszystko. On cię ceni bardzo. Może usłucha, może przejrzy, pozna, jak wielki popełnić chce błąd.

— Dobrze, pójdę.

I poszedłem. Ranek rozpierał się po ziemi w całej pełni. Upalny dzień wyrastał zwolna coraz jaśniejszy i pełen drgania rozgranego powietrza. Roje owadów poczęły dzwonić piskliwe melodye, a świerszcze i koniki wtórowały im wytrwale z kęp traw i zbóż zielonych jeszcze i bardzo rzadkich. Na polanie pod lasem widniała z dala zgarbiona postać Walka, kołysząca się z falą kwicistej trawy za wolnem cięciem kosy. Od czasu do czasu kosiarz przystawał, wbijał kosisko w ziemię, dobywał z zanadru kamień i ostrzył błyszczące w słońcu żelazo. Gdy mnie zobaczył, odłożył narzędzie, usiadł na pokosie i ocierał rękawem kroplisty pot z czoła.

— Coż pon powiem? — zapytał zaciekawiony mem przybyciem.

— Ot, na pogawędkę przyszedłem. Cni mi się w domu.

— No to siadajcie, ponie... Jak też wam się mój zięć podobal?

— Wcale mi się niepodobal.

— Ou, karbek?...

— Nic nie miałbym mu do zarzucenia. Może to być człowiek porządny, pracowity, uczciwy, ale nie on dla Esterki?

— Wedle cego, radbek to wiedzieć, ponie?

— Bo ona go wcale nie kocha. Wy ją Walku zmuszacie, a to bardzo źle. Zabijacie jej szczęście. Przyszłość będzie dla niej piekłem.

Spojrzał na mnie z odcieniem podejrzenia i zapytał.

— Skąd też wy to wiecie i tobym wiedzieć rad.

— Mówiła mi Esterka w tej chwili i dlatego przyszedłem do was, aby wam wytłumaczyć...

— Na nic, pedam wam, ponie, na nic. Tak być musi. Josek je dobry, mądry zyd. On cytać umie, kie som rabin i interes swój rozumie dobrze. Ma pare stówek, Esterce dam też kondek posagu, dorobią się i szczęśliwi bedam. Cekoć mi dalej nijako. Kto lepszy się trafi? Tysiąców u mnie nie ma nijakich.

I jakby powiedzeniem tem chciał zakończyć rozmowę, ujął swoją kosę i zapuścił ją w rzadką trawę, stękając mocno za każdym pociągnięciem. Oddaliłem się zły i wzburzony.

Gdy o rezultacie powiadomiłem Esterkę — rozpłakała się.

(C. d. n.)